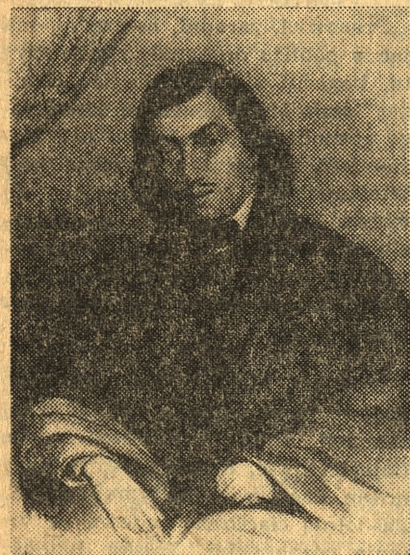


Przed Międzynarodowym Konkursem Skrzypcowym

Henryk Wieniawski

Od inauguracji V Międzynarodowego Konkursu im. Henryka Wieniawskiego dzieli już nas tylko niewiele dni. Będzie zatem wskazane przypomnieć dziś sylwetkę patrona konkursu — jako wirtuoza i twórcy. Wieniawski działał w epoce współczesnej Moniuszce. Urodził się w Lublinie (1835 r.). Konserwatorium Paryskie skończył z najwyższą nagrodą jako 13-letni chłó-



Henryk Wieniawski

piec. Wybitny pedagog prof. Massart na świadectwie dyplomowym wpisuje swemu adeptowi bardzo dobrą ocenę, dodaje jednak zastrzeżenie, że grze młodzieńckiego artysty brakuje zasadniczego elementu sztuki skrzypcowej czyli staccato (dźwięki odrywane, skracane). Tym niemniej nasz wyjątkowo uzdolniony adept wkrótce opanuje wszystkie tajniki wolińistyk i uzyska sławę fenomenalnego muzyka.

Pierwsze koncerty daje Wieniawski w Paryżu i Petersburgu. Występuje wraz z bratem Józefem — pianistą, również absolwentem paryskiej szkoły. W r. 1850 artyści grają po raz pierwszy w Warszawie, następnie jadą do Lipska i Berlina. Fascynująca sztuka obu braci podziwia z kolei Belgia, Holandia, Anglia. W Ameryce koncerty Wieniawskiego (teraz razem z pianistą rosyjskim Antonim Rubinsteinem) stają się prawdziwą sensacją tamtejszych sal koncertowych. Dzięki pracowitości i talentowi młody wirtuoz budzi swą sztuką zachwyt tłumów.

Również muzycy i krytycy chylą czoła przed nową indywidualnością. Siynny skrzypek niemiecki J. Joachim pisze w swoich wspomnieniach: „Wieniawski był zawsze najbardziej szalonym i ryzykownym artystą, jakiego widziałem. Kto nie słyszał jego gry ten nie może sobie wyobrazić co potrafi lewa ręka wirtuoza”. Nasz rodak w istocie łączył w swej sztuce blask techniki z głębią wyrazu, temperament z ujmującym sentymentem. W czerwcu r. 1854 znowu obaj bracia dają szereg koncertów w Poznaniu w sali Hotelu „Bazar”. Każdego wieczoru Henryk Wieniawski powtarza dedykowany stolicy Wielkopolski swój świeżo napisany utwór „Souvenir de Poznań”. Zacytujemy fragment z recenzji jaka ukazała się w ówczesnej „Gazecie Wielkopolskiej Księstwa Poznańskiego”: „Mały wśród murów naszego miasta obu Wieniawskich, wielbionych po dziennikach, wieńczonych po salonach, czczonych przez zagranicę i własnych ziomków. Wieniawski nas oczarował. Nie masz mu równego”.

Henryk Wieniawski jest pierwszym historycznym przedstawicielem polskiej grzy skrzypcowej. Jako twórca dał literaturze krajowej dzieła na miarę europejską. Kompozycje skrzypcowe tego autora zyskały sobie popularność na całym świecie. Jako najbardziej reprezentacyjna



praca uchodzi „Koncert d-moll” na skrzypce i orkiestrę z uroczą, śród-kową częścią — zatytułowaną „Romans” oraz ognistym, porywającym finałem „Alla zingara”. Wśród wiek-szych form wyróżniają się dwa brawurowe „Polonezy koncertowe”, olśniewające „Wariacje na temat ludowych pieśni rosyjskich”, „Fantazja z Fausta Gounoda”, „Scherzo — Tarentella” oraz „Walc — Kaprys”. Szlachetnym wyrazem liryzmu technie „Legenda g-moll”, poemat powstały na tle osobistych przeżyć kompozytora, w okresie jego zabiegów o rękę ukochanej Izabelli Hampton. Wspomnijmy o kilku innych miniaturach, ujmujących pięknem melodyki i elegancją formy. Jednym z najbardziej popularnych utworów Wieniawskiego jest „Kujawiak”, w którym melancholia i romantyczna zaduma walczą o lepsze ze szczerą radością życia.

Ostatni występ Wieniawskiego w Krakowie odbywa się na 3 lata przed śmiercią kompozytora. Gazety tamtejsze pełne są uznania dla kunsztu artysty, równocześnie jednak mówi się już wyraźnie o niepokojącym stanie jego zdrowia. 42-letni wirtuoz wyzerpany jest swą zawrotną karierą. Choruje poważnie na serce. Zimą roku 1879/80 jeszcze wyjeżdża na tournée do Rosji. Na zaproszenie swego przyjaciela pianisty A. Rubinsteina ma tam wziąć udział m. in. w wielkim koncercie Cesarskiego Towarzystwa Muzycznego. Jedzie z dziwnym przecuciem zgonu. Istotnie kilka miesięcy później kończy życie. Zbliżający się V Konkurs Skrzypcowy będzie wyrazem między narodowego uznania dla wartości polskiej kultury muzycznej, tak godnie reprezentowanej przez Henryka Wieniawskiego.

GIEKAWI LUDZIE GIEKAWIE SPRAWY

Gra w Poznaniu od lat siedmiu, przeważnie główne, poważne, dobrze u nas notowane role. Anisję w „Potędzie ciemnoty”, świętą Joannę w sztuce Shawa, Fidelinę w „Dzieciach kochankach”. Nastazję Filipową w „Idiocie”, panią Dally w jednoaktówkach Hanleya, wreszcie ostatnio Berenikę w tragedii Racine'a. Ma na swym koncie szereg nagród aktorskich na Spotkaniach Kaliskich; ma i inne, na przykład nagrodę studenckich „Wybojów” w 1956 r. Często słyszymy ją przez radio w różnych słuchowiskach, nierzadko oglądamy i na estradzie. Jest więc w Poznaniu aktorką znaną, cenioną w zespole.

W klubie Związków Twórczych przy czarnej kawie rozmawiamy z Kazimierą Nogajówną — aktorką Teatru Polskiego w Poznaniu. Po troche o karierze aktorskiej, po troche a samym teatrze. Na początku nie sposób obejść się bez stereotypów w pytaniach.

— Jakże były Pani aktorskie początki, jak trafiła Pani do teatru?

— Właściwie nie od razu, i nie najprostsza drogą przez szkołę aktorską. W 1951 roku, tuż po maturze, nie zdałam egzaminu do szkoły teatralnej. Oblałam mnie — zdaje się — profesor Woszczerowicz. Przyjechałam wtedy na egzamin prosto z obozu sportowego, przed jakąś ważną spartakiadą. Uprawiałam lekkoatletykę, startowałam w poważnych zawodach w bydgoskiej „Gwardii”. Byłam wtedy bardzo pochłonięta sportem, uprawiałam go wyczynowo. Skakałam w dal, uprawiałam rzut dyskiem i biegi sztafetowe.

— Kibiców sportowych mamy zdaje się więcej niż teatralnych, może więcej ich zainteresu-

Ech, serdeczności pełni ludzie Zapolaria! Ledwo spytałem jednego spośród czekających na przystanku o drogę — zaczęło mi tłumaczyć chyba z czterech. Mimo, że porwisty wiatr miotając mokrym śniegiem zmuszał raczej do obojętności wobec spraw bliźnich. Nawet wysprzeczałam między sobą taką trasę, bym mogła suchą stopą ominąć rozkiśły plac budowy nowej biblioteki murmańskiej.

Dziękowałam już, kiedy starsza, opatulona w biały szal staruszka, wiadąc zmyśloną cudzoziemską wymową, spytała, czym przypadkowo nie z Olomuńca. Najwyraźniej rozczarowała się moim wyjaśnieniem. Zaraz wszakże dorzuciła: „To chyba na grób marynarzy z polskiego „esminca”, nazwanego jakoś z angielska...”. Nim przypomniała sobie i nim ją podpowiedziałam, już któryś z moich poprzednich informatorów wtrącił tylko nieco zniekształconą nazwę.

„Tak, właśnie tak „Gierland” — ucieszyła się staruszka. — Po naszymu tyle co „Wienok”. Po waszemu zresztą także. Wiem, bo kilku z tych Polaków, raniionych jeszcze na morzu, leżało właśnie w tym szpitalu, gdzie „medsiestra” była moja najmłodsza córka. Jeden nawet umarł na jej rękach... Właśnie w tę noc, kiedy Niemcy korzystając z polarnego dnia, podpalili bombami całe miasto. Pamiętam jak wczoraj: przy szła po dyżurze na pogorzelisko, już ledwie dymilo, siedla w swym białym chalcie obok mnie, na gołej ziemi i z płaczem tulił się jak dziecko. Siedemnastoletnia dopiero była. Myślałam, że to tylko po domu... Choć więc samej mi serce ścisnęło, próbowałam jeszcze pocieszać: póki życie i nie pod Hitlerem. A ona... Ech, może wtedy właśnie nie powinnam mówić o życiu. Czasem cudze równie drogie jak własne. Zwiastowała, jeśli widzi się tyle cierpienia. Zresztą, kto wie; nigdy już z nią później na ten temat nie rozmawiałam. Ale chodzę do tych Polaków, co tu leżą, czasami nawet wianek z liści splecę...”

A córka gdzie teraz — pytam uradowaną śladem — mieszka teraz nie w Murmańsku?

„Nie, mój drogi... właśnie w tym Olomuńcu, tam ją trafiła kula; już w maju, tuż przed końcem wojny. Dlatego, kiedy myślałam, żeś Czech... Wybacz synku, do widzenia”.

Nim zdołałam ją choćby o coś jeszcze spytać, przeprosił za mimowolny nietakt, poprosił przynajmniej o adres, wsiadła do autobusu. Zasunęły się automatyczne drzwi i wnet jej biały szal zdał się identyczny z dziełką innych.

Gdziekolwiek na szlakach wojennych ostatniego półwiecza szuka się w tym kraju śladów wielkości naszego narodu, zawsze spła-

Zbigniew Szumowski

Murmański wieniec

tają się one z wielkością radzieckich narodów. Wyodrębnić własnonarodowego wątku nie można. Chyba że zrezygnuje się z poczucia sprawiedliwości. Ze miast państwowości godności, dojdzie do głosu nacjonalistyczna pycha.

Oto jechałam do Murmańska między innymi po to właśnie, by zebrać jeszcze jakieś dodatkowe informacje o murmańskim rejsie ORP „Garland” z maja 1942 roku. Rejsie bohaterów, dającym załozę tego okrętu prawo do sławy demurgów je dnej z najpiękniejszych kart historii — mówiąc tytułem książki Jerzego Pertka — „Wielkich dni małej floty”. Powróciłam też z tego zapolarnego portu jeszcze bardziej dumny z marynarzy „Garlanda”.

Ale z drugiej strony nie mogę już widzieć w Murmańsku roku 1942 tylko docelowego punktu konwojów, w których osłonie wykrawała się polska załoga. Murmańscy są mi bliscy, kombatancko, bratersko bliscy nie tylko dlatego, że tak serdecznie opiekowali się polskimi marynarzami.

To prawda — Murmańsk w latach 1941-45 stał się m. in. dlatego tak niewłaściwie ważnym punktem teatru drugiej wojny światowej, ponieważ wtedy właśnie docierała spora część dostaw broni angielskiej i amerykańskiej dla Armii Radzieckiej. Dostaw odpłatnych, jakkolwiek przez najtrudniejsze lata — ponoszenia właściwie przez wojska radzieckie całego niemal ciężaru działań przeciwko siłom lądowym Trzeciej Rzeszy — stanowiły one najpoważniejszy wkład mocarstw zachodnich we wspólne dzieło. Przy tym dostawy owe tworzyły jedynie ułamek uzupełniający własną produkcję radziecką. Dla porównania: ogółem od połowy 1941 roku do końca roku 1944 przemysł radziecki dostarczył na front samych tylko czołgów 82 645, samolotów wszelkich typów 115 371, dział i moździerzy wszelkich kalibrów (bez artylerii przeciwlotniczej) ponad 160 000. Natomiast Stany Zjednoczone i Wielka Brytania przesyłały do Związku Radzieckiego w latach 1941-45 (wg danych zachodnich) łącznie: 12 161 wozów opancerzonych wszelkich typów, 6 000 dział i moździerzy, 14 018 samolotów (w dwóch trzecich nie bojowych)...

A ponadto... Był ów uzupełniający import broni mógł dotrzeć do rąk żołnierzy radzieckich — swym wysiłkiem i ofiarnością decydujących o losach całej wojny, — niezbędne było nie tylko uprzednie męstwo dziesiątków tysięcy bohaterów kon-

wojowych szlaków. Musiał być utrzymany Murmańsk. Niemal przygraniczny wobec Finlandii i Norwegii. Z tego względu — od pierwszych godzin agresji „osi” na Kraj Rad — przyfrontowy. Tym dramatyczniej przyfrontowy, że już w planach „Barbarossa” określony przez Hitlera, ja ko jeden z czterech głównych celów całej kampanii. Stosownie do tego atakowany przez doborowe jednostki hitlerowskie.

Mimo to osłonięty przez obrońców. Na równi z leningradczykami, moskwićzanami, stalingradczykami, przede wszystkim swym męstwem i patriotycznym samopoświęceniem, prześadzających realność hasła „ani kroku wstecz”.

Cóż więc z tego, że nie zna się u nas np. postaci Anatola Briedowa — murmańskiego komсомола, który wystrzelawszy resztki amunicji, ranny, nie chcąc oddać się do niewoli, wysadził siebie i Niemców ostatnim granatem... Ze nie jest zrozumiałym symbolem nazwa 6 baterii, 15cie po bemońsku a zarazem spartańsku (by takich użyć porównań) broniącej drogi do Murmańska na trzy dziesiątych kilometrach od miasta... Ze mało kto wie w Polsce, iż Hitler spalił masowymi nalotami cały Murmańsk. Niemal całą ludność miasta za kołem podbiegunowym pozbawił dachu nad głową, mimo to nie zdołał osiągnąć choćby tylko przejściowego osłabienia morale frontu i zaplecza, nie udaremnił rozładunków...

Sami oceniając swoje tradycje „za waszą i naszą...”, tym bardziej chyba umiemy docenić radziecki udział w murmańskim epizodzie polsko-radzieckiego braterstwa broni.

Jerzy Pertek przytacza w swej kapitalnej książce o polskiej marynarce wojennej relację o starszym marynarzu Bombie, który konając na pokładzie „Garlanda”, napisał krwią niezdarnymi, krzywymi literami „Polsko, jak słodko dla ciebie umierać”. Jeśli ta marynarska śmierć za Polskę miała szczególną wartość, jeśli bohaterstwo garlandczyków ważyło także na najważniejszym froncie zwycięstwa nad Trzecią Rzeszą, frontie decydującym o Polsce, to dla tego, że Murmańsk był nie tylko portem... Był w latach drugiej wojny światowej miastem-bohaterem.

Jest też dziś miastem, które same dumne ze swego wkładu w ogólnoludzkie zwycięstwo, pamięta w najbardziej serdeczny, ludzki sposób i o współtowarzyszach zmagani.

* esminiec — niszczyciel eskortowy.

je jakiej klasy wyniki uzyskiwała przyszyła aktorka. Ile też Pani ska kała?

— W dal w każdym razie ponad 5 metrów. Ale wtedy był to rok 51 — sześć metrów jeszcze nie uzyskiwano. Poza tym biegałam w sztafecie, rzucalam dyskiem. Sport traktowałam bardzo poważnie. Sądzę, że to wszystko mi się teraz bardzo przydaje. W zawodzie aktorskim sprawność fizyczna gra poważną rolę.

— Jak jednak trafiła Pani na scenę?

— Dość stereotypowo. Po oblanu egzaminu na studia nie miałam przez rok co robić, kibicowałam Teatrowi Młodego Widza w Bydgoszczy. Ktoś zachorował, zrobiłam zastęp-

Kazimiera Nogajówna o aktorskiej pracy nad rolą

stwo. Było to przedstawienie dla dzieci pt. „Wyrok Krasnoludka Pawia”. Grałam tam rolę konika polnego, mój tekst ograniczał się do mówienia „ćwir, ćwir”. Reżyserował, na własem mównic, mój dzisiejszy kolega z Teatru Polskiego — i z Estrady — Henryk Olszewski. Potem był rok studiów na Historii Sztuki w Poznaniu, a w czasie następnych wakacji, które spędzałam w Zielonej Górze, zaangażowałam się do tamtejszego teatru. Tam zdobyłam eksterministyczne uprawnienia aktorskie — na studia oczywiście już nie wróciłam.

— Jakże role najmilsze Pani wspomina? Ile ich już było?

— Doliczyłam się 65. Najbardziej utkwiły mi te większe: panny Maliczewskiej Zapolskiej, Mirandoliny Goldoniego w Zielonej Górze, szekspirowskiej Julii w Kaliszu, Nory Ib sena, Marii w „Małym Domku” Rittnera; za nią dostałam nagrodę „Wybojów”, żony w „Ich czworo” Zapolskiej w Kielcach, Katarzyny w „Widoku z mostu” Millera w Szczecinie. W Poznaniu Berty w „Ondynie” Girardoux, Sw. Joanny...

— No i chyba Berenika. Czy z tej roli jest Pani zadowolona?

— Na to pytanie trudno odpowiedzieć. Mam nadzieję, że udało mi się w niej przekazać w jakimś stopniu to, co jest w tej tragedii najważniejsze, że potrafiłam zrealizować założenia reżysera.

Rola ta jest na pewno trudna. To i sprawa przekładu samego wiersza Racine'a, i trudno brzmiających sformułowań. W końcu jednak wszystko to jest chyba tylko sprawą techniki, warsztatu...

— ... Ale także jakieś predyspozycje, upodobania, aktorskiego genu. W jakim repertuarze najlepiej Pani się czuje? Wydaje mi się, że raczej w sztukach psychologicznych, współczesnych?

— Właściwie nie wiem. Chciałabym grać teraz w jakiejś sztuce Czechowa, ale równocześnie nęci mnie i Brecht — tak przecież przeciwstawny. Nie lubię, wąskiej specjalizacji. Na pewno ważne jest to, co się ma w danej roli do powiedzenia. Ale jak już powiedziałam, uważam, że o wszystkim decyduje w zasadzie war sztat. Jeśli jest opanowany, w dostatecznym stopniu można grać właściwie w bardzo różnym repertuarze. Osobiście nie bardzo wierzę w to, aby można było grać zawsze samego siebie i że może mi wystarczyć, tak jak to niedawno jeden z aktorów powiedział, jeśli choć jedna osoba na widowni naprawdę aktora zrozumie.



Kazimiera Nogajówna

Fot. — K. Przychodźki

To wydaje mi się po prostu niezgodne z samą istotą teatru.

— Była Pani — jak wiemy — niedawno w Paryżu na stypendium aktorskim. Jakże Pani ma wrażenia z francuskich teatrów, co nowego Pani zobaczyła?

— Widziałam wielu znakomych aktorów, dobre spektakle, ale ogólne wrażenie mam mniej więcej takie — „cudów tam nie ma”. To, co proponują tam inscenizatorzy w zasadzie w Polsce już też znamy. Nie miałam więc specjalnego kompleksu prowincjusza. Paryskie przedstawienie „Ma rata” Sade'a (sztuki granej również w Poznaniu) np. nie podołało mi się, a w operetce oglądałam rzeczy wręcz fatalnie inscenizowane. Wi-

Dokończenie na str. 2

